Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 35 (1923) 1 maja 1970 r. Cena 50 gr

LOGOGRYF

Do kratek wpiszcie wyrazy o podanym znaczeniu. Pierwsze litery w oznaczonym rzędzie tworzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1 — brzask, stopniowe rozjaśnianie się nieba aż do ukazania się Słońca; 2 — taniec wirowy; 3 — gatunek cukierka; 4 — osobiste miano nadawane noworodkowi (wspak); 5 — delikatność, zachowanie zasad przyzwoitości; 6 — dopływ Warty; 7 — miasto powiatowe, narzędzie pracy; 8 — obszar wodny przeznaczony dla statków czekających na wejście do portu; 9 — główny składnik powietrza; 10 — urok, wdzięk, powab; 11 — zamek automatyczny o płaskim kluczu.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać. Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych dziesięć bonów książkowych po 20 zł.

Było to przed 80 laty

1 MAJA 1890 ROKU robotnicza Warszawa jako pierwsza na obszarze całego ówczesnego imperium rosyjskiego zapoczątkowała obchody Święta Pracy. Przygotowanie święta nie było sprawą łatwą. Działacze socjalistyczni uwijali się jak w ukropie. Od wczesnego rana do zmroku chodzili od domu do domu i z list lokatorów wynotowywali adresy robotników i wyrobników. Nocami adresowali koperty z odezwami. Nie mogąc korzystać z poczty, roznosili je następnie do domów.

Jeszcze trudniejszą sprawą było rozlepianie nocą na murach pierwszomajowych proklamacji. Mimo że pracę tę często przerywał tętent konnych patroli kozackich, tupot butów policjantów lub ciche kroki szpicli, każdego ranka mury i parkany fabryk były nimi oblepione.

Ta żmudna praca dała jednak wyniki. Robotnicza Warszawa świętowała. Następnego roku za Warszawą poszła Łódź, Żyrardów i inne miasta. „NIECH SIĘ WALI, NIECH SIĘ PALI, MY BĘDZIEMY ŚWIĘTOWALI" — śpiewano na wiecach i w pochodach.

Dziś chcemy Wam opowiedzieć o pierwszomajowym pochodzie w pamiętnym 1905 roku, kiedy imperium carów wstrząsnęła po raz pierwszy robotnicza rewolucja.

C.d. str. 2–3

O FABRYCE TRAKTORÓW, O SOBIE — OPOWIADA JEDEN Z NAJSTARSZYCH PRACOWNIKÓW „URSUSA" inż. JÓZEF GÓRNIAK

URSUS znaczy SILNY

ZBLIŻAŁ SIĘ pierwszy maja 1947 roku. Wtedy jeszcze nie pracowałem w „Ursusie", ale wiedziałem, że załoga coś szykuje na święto. Ludzie w okolicy przebąkiwali, że w majowym pochodzie wezmą udział pierwsze traktory wyprodukowane po wojnie. Prawdę mówiąc — mało kto wierzył w te wiadomości. Wszyscy dobrze wiedzieli, co zostało z fabryki po wojnie. Już w połowie 1944 roku hitlerowcy wywieźli wszystkie maszyny i urządzenia produkcyjne. Natomiast w przeddzień wyzwolenia, wieczorem 16 stycznia 1945 roku, wysadzili w powietrze budynek Odlewni Żeliwa. Fabryka praktycznie przestała istnieć. A tu tymczasem, w dwa lata po wojnie słyszy się, że w pochodzie wezmą udział traktory. Czy to możliwe?

C.d. str. 4–5

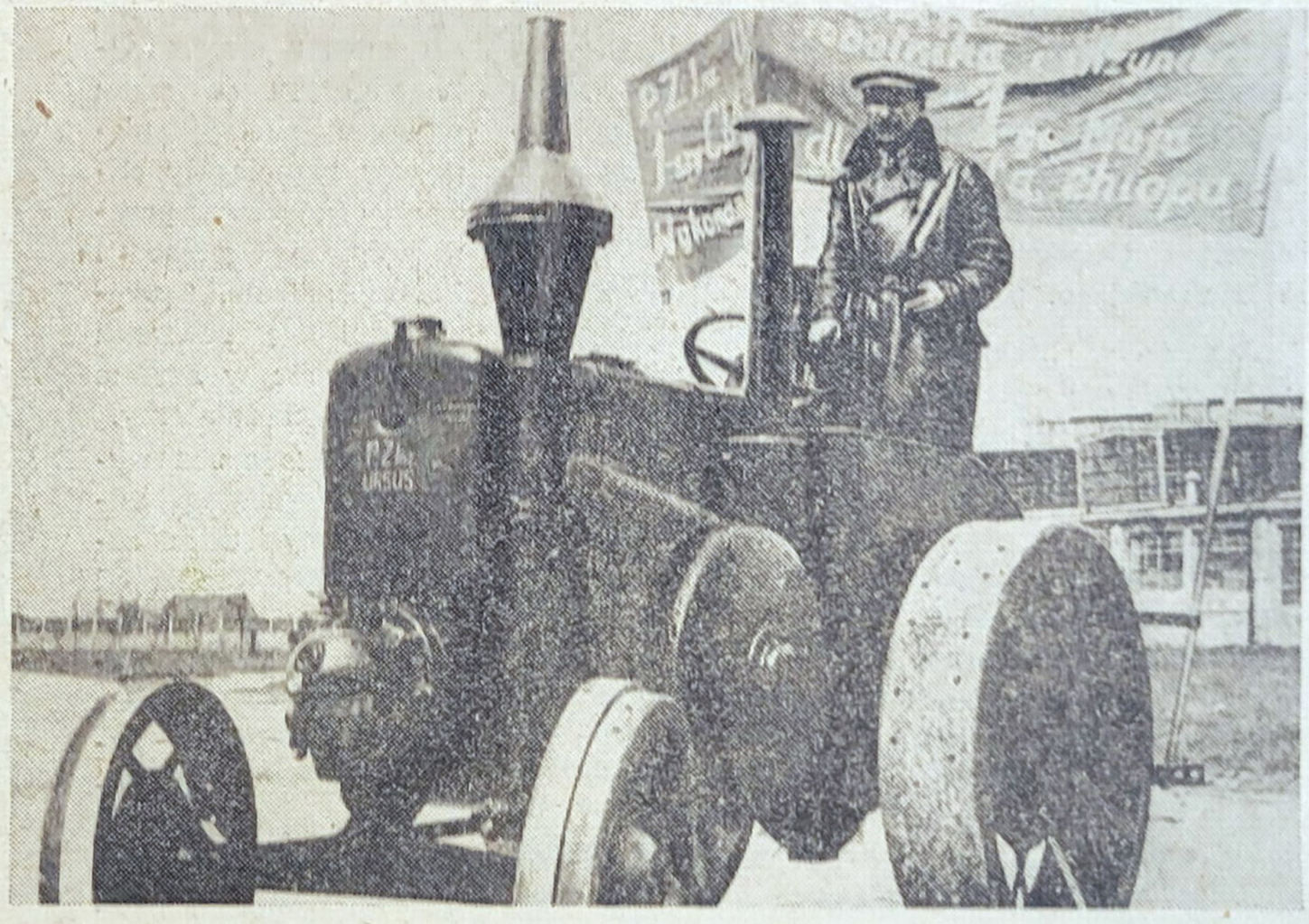

Tak wyglądał pierwszy polski traktor wyprodukowany po wojnie, który uczestniczył w pochodzie pierwszomajowym 1947 roku w Warszawie. Seria tych traktorów oznaczona symbolem C-45, po wprowadzeniu wielu ulepszeń (m. in. koła na gumach, budki) trwała do 1959 roku. Łącznie wyprodukowano ich ok. 60 tys. sztuk.

O tym się mówi

„Bardzo podobają mi się utwory greckiego kompozytora, Mikisa Theodorakisa — pisze w swym liście do „Świata Młodych" Ela Momys z Mosiny koło Poznania. — *Chciałabym poznać jego życie i działalność patriotyczną."*

PRZYPUSZCZAM, że nie tylko Ela ucieszyła się, kiedy świat obiegła wiadomość, że Theodorakis jest wolny i przebywa we Francji. Ja ucieszyłem się bardzo tą wiadomością, tym bardziej, że miałem zaszczyt poznać osobiście Theodorakisa.

Było to w 1962 roku, w czasie Światowego Festiwalu Młodzieży i Studentów w Helsinkach. Theodorakis przyjechał tam razem z moim greckim przyjacielem, Kakoyanisem, wówczas posłem do parlamentu. (Nie wiem — niestety — co teraz z nim się dzieje, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.)

THEODORAKIS i „czarni pułkownicy"

Już wówczas Mikisa Theodorakisa otaczała legenda. Jego muzyka podobała się wszystkim, było w niej coś radosnego, optymistycznego. Kompozytor świadomie sięgał do ludowych motywów, umiał zawrzeć w swoich utworach tęsknoty prostych ludzi do lepszego życia, wzywał do walki o wolność. Chciał, aby jego melodie rozbudzały u ludzi te dążenia.

Talent połączył z rzetelnymi studiami muzycznymi. Z pochodzenia jest Theodorakis Kreteńczykiem, ale dzieciństwo swoje przeżył na Półwyspie Peloponeskim i tam jako 14-letni chłopiec (urodził się w 1925 roku) zaczął tworzyć swe pierwsze kompozycje. Muzyki uczył się w ateńskim konserwatorium, a w latach 1954—60 doskonalił swój talent w konserwatorium paryskim w klasie Oliviera Metien.

Theodorakis zdawał sobie sprawę, że muzyka jest niewystarczającą bronią w walce o sprawiedliwość społeczną. Aktywnie uczestniczył więc w życiu politycznym. Był posłem do parlamentu greckiego, przewodniczył postępowemu Związkowi Młodzieży Greckiej im. Lambrakisa.

Również jako działacz polityczny — wtedy w Helsinkach — wywarł na mnie duże wrażenie: wysoki, barczysty mężczyzna z bujną, czarną czupryną, przemawiający z emfazą, umiejący porwać salę. Był uosobieniem młodzieńczości, chociaż nie był młodzieńcem.

W działalności patriotycznej brał udział od najmłodszych lat. Uczestniczył w antyfaszystowskim ruchu oporu, a po zakończeniu II wojny światowej w zmaganiach z reakcją o ustrój demokratyczny w swej ojczyźnie. W 1947 roku został po raz pierwszy zesłany na 3 lata do obozu koncentracyjnego. Tam zachorował na gruźlicę. Następnie wyjechał do Francji aby w 1960 roku powrócić znów do Grecji.

Lata 1966 i 1967 przyniosły Grecji skromne, ale bądź co bądź postępowe reformy. Ludzie pracy domagali się jednak więcej. Przerażeni tym właściciele fabryk i majątków rękami reakcyjnej kliki pułkowników doprowadzili — przy poparciu USA i pomocy amerykańskiego wywiadu — do obalenia postępowego rządu.

Rozpoczęły się lata krwawego terroru, lata rządów „czarnych pułkowników", jak nazwała je postępowa opinia publiczna. Aresztowano i zesłano do obozów koncentracyjnych tysiące ludzi.

Po krótkim okresie przebywania w konspiracji zostaje aresztowany i Theodorakis. Zwolniony po paru tygodniach na krótki okres jest ponownie wtrącony do więzienia w sierpniu 1967 roku.

Tymczasem świat alarmują informacje o nieludzkich warunkach życia, o torturach i prześladowaniach więźniów w greckich obozach koncentracyjnych. Docierają też sygnały o ciężkich przeżyciach Theodorakisa, o bardzo złym stanie jego zdrowia. Opinia światowa domaga się jego uwolnienia.

Theodorakis sam też nie milczy, komponuje. Na prośbę działaczy organizacji pionierskich krajów socjalistycznych pisze dla pionierów — spopularyzowaną u nas przez Rozgłośnię Harcerską — pieśń „Jaki piękny świat..." Nie tylko zresztą ten utwór wydostał się zza krat więzienia.

I wreszcie obecnie z więziennego szpitala wypuszczono samego kompozytora. Dlaczego tak postąpili „czarni pułkownicy"? Jak oświadczył w Paryżu sam Theodorakis „uzyskał wolność dzięki moralnej solidarności międzynarodowej". Dodać jeszcze można, że „czarni pułkownicy" rządzący metodami bardzo podobnymi do hitlerowskich — wobec narastających protestów nie tylko ludzi postępowych, ale i konserwatywnych mężów stanu — coraz bardziej boją się utraty poparcia nawet swoich dotychczasowych sojuszników. Muszą więc iść na ustępstwa.

WIKTOR KINECKI

Rok 1905

BO NA NIM ROBOTNICZA KREW

TEGO ROKU Warszawa przypominała beczkę z prochem. Za przykładem robotników żądając polskiej szkoły strajkowali uczniowie szkół średnich i studenci Uniwersytetu Warszawskiego.

Jeszcze w kwietniu w urzędowej gazecie „Warszawskij Dniewnik" ukazała się notatka:

„W ostatnich dniach w warszawskich sklepach galanteryjnych dawał się zauważyć niezwykły popyt na czerwone krawaty i takież wstążki na kokardy, które mnóstwo dziewcząt nosi na prawym ramieniu. Niektóre sklepy wyprzedały cały zapas czerwonych krawatów, nie wyłączając zleżałych, na których sprzedaż nigdy nie liczyły, a tym mniej po takich cenach, jak 2 i pół rubla za sztukę."

Na krótko przed świętem w tysiącach egzemplarzy rozkolportowana została 1-majowa odezwa Zarządu Głównego Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. *„Niech ustanie praca!... Wszyscy na demonstrację!"* — wzywała ona. Krążąc potajemnie docierała do fabryk, do rzemieślniczych warsztatów do baraków bezrobotnych.

Dzień 1 maja 1905 roku był ciepły i pogodny. W dzielnicach robotniczych świąteczny nastrój panował już od rana. Tłumy odświętnie ubranych ludzi zaległy ulice. Tylko od czasu do czasu wnosząc nastrój niepokoju przeciągały oddziały wojskowe, przemykały się piesze i konne patrole, przechadzali się rewirowi i komisarze w asyście uzbrojonych żołnierzy.

Na długo przed wyznaczoną godziną kilkutysięczny tłum zapełnił ulicę Wronią od skrzyżowania z Chłodną aż do placu Witkowskiego. O godzinie dwunastej pochód ruszył. Ramię przy ramieniu szli starzy i młodzi, ojcowie z dorosłymi synami i matki z młodszymi dziećmi. Obok młodzieży polskiej kroczyła gru-

KTO MA RACJĘ?

KLUB NASTOLATKÓW

W 33 numerze „Świata Młodych" rozpoczęliśmy dyskusję pt. „Kto ma rację"? Ika z Bydgoskiego pisała o swej przyjaźni z chłopcem i o tym, jak rodzice zmusili ją do zerwania znajomości. Jak świadczą pierwsze listy, które dzisiaj zamieszczamy, rzecz dotyczy nie tylko i nie przede wszystkim przyjaźni. Czekamy na dalsze wypowiedzi. Na kopertach piszcie: „W SPRAWIE IKI".

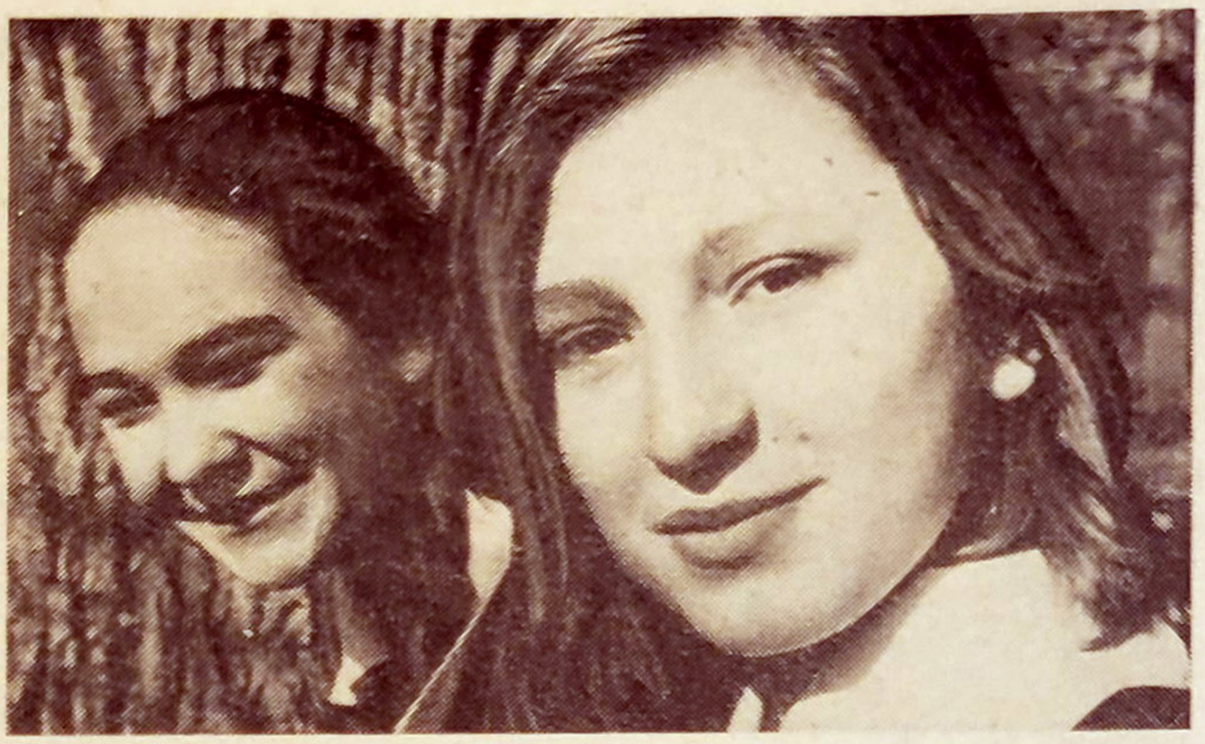

Czy tylko nietakt?

ZGADZAM SIĘ Z IKĄ. Sytuacje podobne do opisanej przez nią spotyka się częściej. Chciałabym napisać o tym, jak moje koleżanki potraktowały mnie za to, że w ubiegłym roku nigdzie nie wyjechałam na wakacje.

Ponieważ mamusia zdawała matury w technikum i wykorzystała wcześniej urlop, w lecie nie mogłam wyjechać ani na kolonię, ani też na obóz.

Wakacje spędzałam w mieście. Wcale tego nie żałuję, bo przynajmniej lepiej je poznałam. Co niedzielę zaś wyjeżdżałam z rodzicami do Justynowa pod Łodzią. Kiedy jednak spotykałam swoje koleżanki, drwiły ze mnie, że nigdzie nie pojechałam.

Rodzice widząc to, wzięli mnie z sobą w delegację do Wrocławia. Kosztowało ich to sporo, bo musieli mi zapewnić nocleg w hotelu i wyżywienie, a doszły do tego i różne dodatkowe koszty związane z przyjemnościami, które chcieli mi sprawić. Bardzo byłam im wdzięczna za taką miłą niespodziankę.

Przy okazji wytłumaczyli mi, abym nie przejmowała się takimi koleżankami, które drwią z tego tylko, że nie mogłam — tak jak one — wyjechać do Sopotu czy Kołobrzegu. My po prostu nie mamy na to pieniędzy, no i mamusia nie miała urlopu. Myślę, że postępowanie moich koleżanek było bardzo nietaktowne.

Jola M.
z Łodzi

Czy przez to są lepsi?

W NASZEJ KLASIE są koleżanki i koledzy, którzy wywyższają się ponad wszystkich, ponieważ ich rodzice są dobrze sytuowani lub pracują na wysokich stanowiskach.

Gdyby ktoś zechciał posłuchać rozmów, jakie prowadzą! Dziewczyny z takich rodzin ciągle mówią tylko o elastycznych bluzkach i innych „ciuchach" z komisu. Mało tego — przychodzą w nich na lekcje, pomimo że obowiązuje szkolny strój. Na uwagi nauczycieli wzruszają ramionami. Ich zdaniem najważniejszą sprawą w życiu jest posiadanie luksusowych przedmiotów którymi można zaimponować innym.

Pegaz
z Warszawy

Człowiek którego cenię

JEST TAKI CZŁOWIEK, którego bardzo cenię. Chociaż jest ode mnie o kilka lat starszy, zawsze mogę się z nim swobodnie porozumieć. Jak równy z równym. Nigdy nie czuję się ważniejszy czy mądrzejszy. Chętnie słucha udzielanych mu rad, a jeśli się z nimi zgadza, stosuje je w życiu.

Podziwiam jego pracowitość. Warunki, w jakich się uczył, były bardzo ciężkie. Mimo to zawsze był najlepszym uczniem. Po skończeniu szkoły średniej wbrew woli rodziców zaczął studiować, nie żądając żadnej pomocy materialnej. Obecnie jest studentem III-go roku Wyższej Szkoły Rolniczej. Jak dotąd rodzice nie dali mu nic na naukę. Odwrotnie — to on im pomaga. Każde wakacje spędza w domu pracując w polu. (Jego rodzice są rolnikami). Jest najlepszym studentem, a jednocześnie przewodniczącym ZMW na terenie uczelni. Jeśli ktokolwiek zwróci się do niego o pomoc, zawsze chętnie jej udziela.

Czy nie ma wad? Wcale mu ich nie brakuje. Potrafi je jednak zatuszować miłym uśmiechem i całym swoim postępowaniem.

Ludzi można cenić mniej lub bardziej tylko za to, jak postępują w życiu.

Ewa
ze Szkoły Podst. nr 158
w Warszawie

Opracowała:
B. SKÓRSKA
Foto: W. Hudon

Rys. M. Kościelniak

pa młodzieży rosyjskiej. Cała robotnicza Warszawa. Nad tłumem łopotały czerwone sztandary.

Pochód rozrósł się już do dwudziestu tysięcy uczestników. Szyby drżą od okrzyków: „Precz z samowładztwem!", „Precz z wyzyskiem!", „Niech żyje socjalizm!" Daleko słychać słowa pieśni: **„...a kolor jego jest czerwony, bo na nim robotnicza krew..."**

Naraz pieśń urywa się, szeregi się zwierają, pochód zwalnia. Od czoła maszeruje oddział wojska. Cisza jak przed burzą. Ale robotnicy w milczeniu posuwają się naprzód. Nikt nie zawraca, nikt nie dezerteruje. Wojsko jest coraz bliżej.

— Bracia, chodźcie do nas!... — ktoś z tłumu krzyczy do żołnierzy.

Wobec stanowczości uczestników pochodu, dowódca postanawia nie ryzykować. Wojsko wycofuje się.

Czoło pochodu skręciło już z ulicy Żelaznej w Aleje Jerozolimskie. Pojawiają się znów żołnierze — oddziały piechoty i ułanów oraz oddział policji. Zatrzymują się w jednej z bocznych ulic. W przekonaniu, że wojsko nie ma wrogich zamiarów, pochód idzie dalej.

Demonstranci docierają do ulicy Teodora (obecnie: Chałubińskiego). W tym momencie ułani rozpoczynają szarżę na tłum. Kłute ostrogami konie wpadają w sam środek pochodu. Ludzie rozpraszają się na chwilę.

Ale trwa to niedługo. Znowu zwierają się szeregi. Na żołnierzy sypią się kamienie, słychać przekleństwa. Rozlega się wystrzał rewolwerowy, rozpoczynający ogólną strzelaninę. Strzela piechota i policja. Ułani z obnażonymi szablami rzucają się na bezbronny tłum szukający schronienia w bramach, za parkanami, w prywatnych mieszkaniach. Gniewne okrzyki, jęki rannych mieszają się z komendami oficerów, odgłosami wystrzałów.

Carscy siepacze szaleją. Strzelają do uciekających, do kryjących się za parkanami, przez drewniane ściany domów do mieszkań. Jest przeszło 50 zabitych i ponad 100 rannych. Wśród ofiar są kobiety, starcy i dzieci.

Taki był warszawski maj 1905 roku.

BRONISŁAW OWSIANKO

Zakłady Mechaniczne „Ursus", to jedna z najstarszych fabryk w Polsce, a jednocześnie jedna z najmłodszych. Aby się nie zestarzeć „Ursus" ciągle się rozbudowuje i modernizuje. Wśród 14-tysięcznej załogi, blisko połowa, to młodzi robotnicy.

C. d. ze str. 1

— Mieszkałem wtedy u ojca na wsi pod Błoniem. To niedaleko od Ursusa — wspomina inż. Józef Górniak. — Zmówiliśmy się w kilku chłopaków i pojechaliśmy do Ursusa obejrzeć te ich cuda. Było to rankiem pierwszego maja. Przed fabryką zebrał się już spory tłum. Dziś może się to wydać śmieszne, że ludzie zjeżdżali z okolic, aby zobaczyć traktor. W tamtych czasach było to jednak wydarzenie ogromne. Długo staliśmy podekscytowani, nim ujrzeliśmy w bramie stalowe rumaki.

Warkot silników, łoskot żelaznych kół po bruku zagłuszyły oklaski i okrzyki. Cieszyliśmy się jak dzieci, że to przecież nasze, że jadą. Nikt nie zwracał uwagi na takie „drobiazgi", że te pierwsze traktory są wielkie, niezgrabne, na żelaznych kołach. Wtedy wydawały się nam cudem techniki.

Pierwszy ciągnik, udekorowany transparentem pojechał na pochód do Warszawy, drugi miał wziąć udział w święcie pierwszomajowym w Ursusie. Niestety, ten drugi traktor nie spisał się, już za bramą fabryki zgasł silnik. Ale to niepowodzenie nie zmniejszyło naszego entuzjazmu i podziwu dla załogi.

Ten podziw wzrósł jeszcze bardziej, gdy rozpocząłem pracę w fabryce i dowiedziałem się szczegółów historii powstania pierwszych naszych traktorów. Proszę sobie wyobrazić, że cała dokumentacja techniczna została odtworzona na podstawie jedynego modelu ciągnika typu „Lanz-Buldog", jaki był do dyspozycji. Rysunki poszczególnych części sporządzano w zimnej, nieogrzewanej hali, bez dokładnych przyrządów pomiarowych. Dziś żaden zespół ludzi nie podjąłby się takiej pracy.

200 traktorów z niczego

ZAPEWNE DZIWI PANA nazwa naszej akcji — uśmiecha się inżynier Józef Górniak. — 200 traktorów z niczego — powtarza głośno. — Widzi pan, wtedy byliśmy młodzi, pełni entuzjazmu. Większość załogi stanowiła młodzież. Pracowaliśmy, jak umieliśmy najlepiej, a umieliśmy jeszcze niewiele. Wystartowaliśmy razem z naszym zakładem. Każdego roku zakład powiększał się, przybywało nowych hal, maszyn. Wzrastała produkcja, coraz nowocześniejsza, coraz większa. W tej nieustannej pogoni za ilością marnowało się sporo cennego materiału. Widzieliśmy, jak poniewierają się po terenie fabryki różne części, zapomniane, bezpańskie. I wtedy właśnie narodził się pomysł tej akcji — **„200 traktorów z z niczego".**

Niektórzy śmiali się z nas, stukając się znacząco w czoło. „Wariaci, porywają się z motyką na słońce". A jednak dopięliśmy swego. Zgromadziliśmy z „odpadków" odpowiednią ilość części i bez jednego grosza wydatków zmontowaliśmy 200 traktorów. Całkiem dobrych traktorów, nie odbiegających standardem od normalnych, seryjnych. To był nasz wielki sukces, tym większy, że pracę wykonaliśmy społecznie.

URSUS znaczy SILNY

Narodziny pierwszego polskiego traktora

OD PAMIĘTNEGO DNIA 1 maja 1947 roku upłynęło kilka lat. Nasz pierwszy, żelazny ciągnik, który zaraz po wojnie był cudem techniki, w latach pięćdziesiątych stanowił już zabytek muzealny. Mimo wprowadzonych ulepszeń, na dłuższą metę nie nadawał się do produkcji. Tak więc w 1953 roku zapadła decyzja rozpoczęcia przygotowań do uruchomienia nowego ciągnika.

Dla nas i dla fabryki rozpoczął się trudny okres. Równolegle z pracą w biurach konstruktorskich trwała intensywna rozbudowa i modernizacja całej fabryki. Wtedy pracowałem już w kuźni. Te lata uważam za najtrudniejsze. Byliśmy świadomi faktu, że jeśli nam się nie uda stworzyć dobrego polskiego traktora, trzeba będzie kupić licencję za granicą. A przecież to nie honor dla załogi robić według cudzych wzorów. Powiadam, co to był za gorączkowy okres! Nikt nie liczył się z przepracowanymi godzinami ponad plan, chodziło tylko o to, by udowodnić, że nas stać na zrobienie własnego, nowoczesnego traktora.

W połowie 1957 roku przeżywaliśmy pierwszy sukces — zmontowaliśmy pierwsze trzy prototypy ciągnika. Ale nie spieszyliśmy się z rozpoczęciem produkcji. Przez następne dwa lata trwała nadal intensywna praca nad doskonaleniem wszystkich elementów, zespołów. Wreszcie 4 sierpnia 1959 roku oddaliśmy do eksploatacji serię technologiczną 25 sztuk. Nowy ciągnik otrzymał nazwę „Ursus C-325". Nasze traktory rozpoczęły swój życiowy egzamin. Po bardzo ciężkich próbach w terenie zdały go na piątkę. To był zwrotny punkt w historii fabryki.

Nasz nowy, całkowicie polski, traktor odpowiadał poziomowi najlepszym europejskim ciągnikom. W późniejszych latach ulepszyliśmy go jeszcze bardziej.

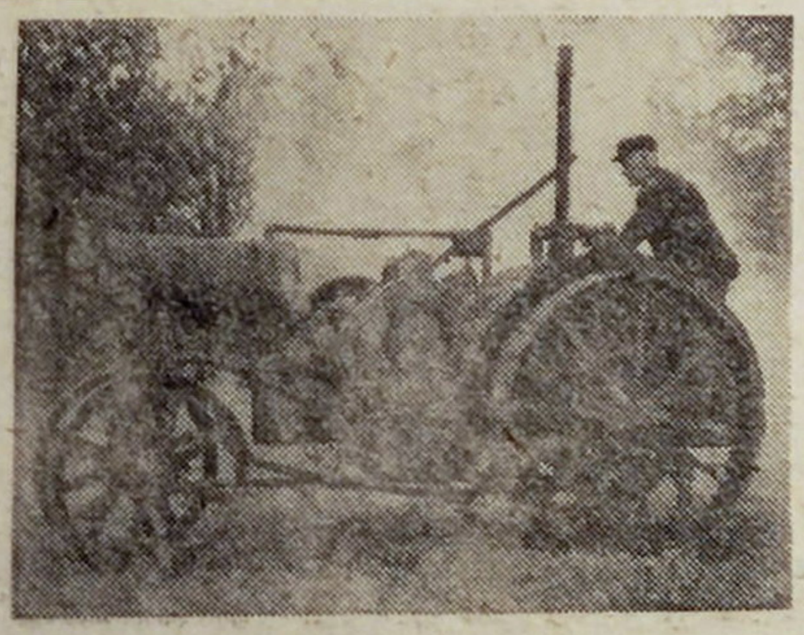

Ten traktor wyprodukowany został w 1922 roku w „Ursusie". Przez 46 lat pracował bez przerwy w gospodarstwie rolnika Stanisława Rakowskiego z pow. płockiego. W 1968 r. Rakowski przekazał go do muzeum ZM „Ursus", a w zamian otrzymał nowoczesny ciągnik C-330.

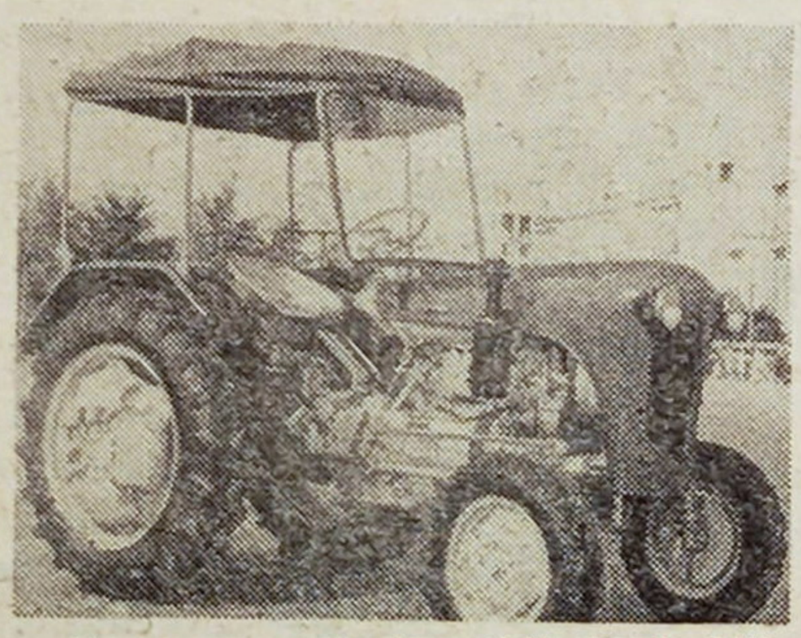

Oto pierwszy całkowicie polski ciągnik C-325 skonstruowany w ZM „Ursus". Seryjna produkcja tych nowoczesnych traktorów rozpoczęła się w 1959 roku i w zmodernizowanej wersji (C-328) trwa do dziś. Ten ciągnik zdobył wiele międzynarodowych wyróżnień i medali.

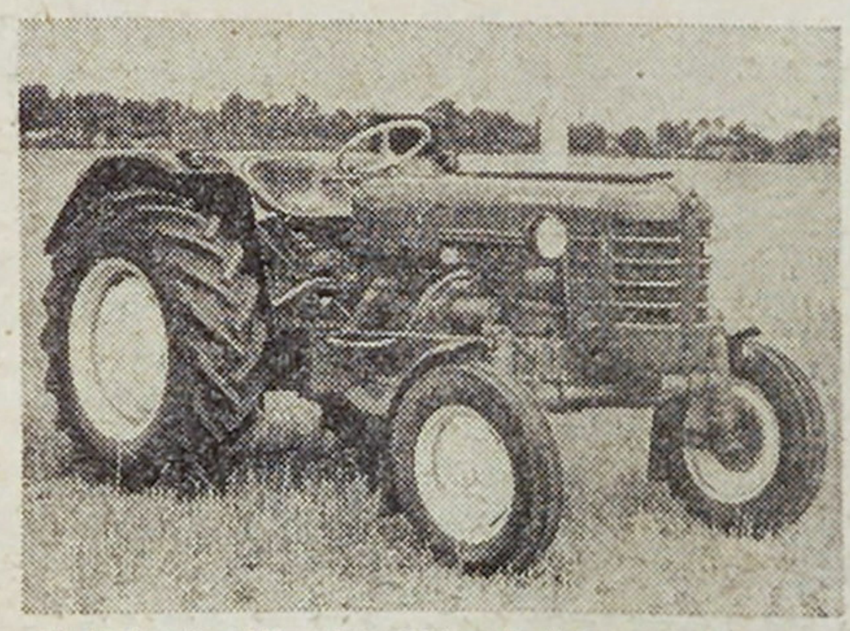

15 kwietnia 1965 roku nowo zbudowaną halę montażową opuścił ciągnik typu C-4011. Traktor ten, to owoc współpracy między przemysłami traktorowymi Polski i Czechosłowacji. C-4011 to polska wersja Zetora. Skrzynia biegów posiada 12 przełożeń — 10 biegów do przodu i 2 do tyłu.

Ta druga wersja naszego traktora (C-328) zwycięsko przeszła badania testowe, m.in. w Instytucie Nebrasca w Stanach Zjednoczonych, Anthony we Francji, czy w New Delhi w Indiach. Na ten sukces ciężko harowaliśmy przez niemal 20 lat. Dziś nasze traktory pracują nie tylko w Polsce, ale w dziesiątkach krajów całego świata.

Wykorzystałem swoją życiową szansę

ROZMAWIAM z inżynierem Józefem Górniakiem w jego gabinecie przy Zakładzie Metalurgicznym Zakładów Mechanicznych „Ursus". Od roku jest kierownikiem tego wielkiego zakładu. Kieruje pracą około 3.500 ludzi, czyli czwartą częścią załogi całej fabryki.

— Wydaje mi się, że w swoim 45-letnim życiu nie zmarnowałem okazji, jaką stworzyła mi Polska Ludowa. Osiągnąłem to, o czym kiedyś nawet nie mógłbym marzyć — mówi inż. Górniak. — Widzi pan, ja pochodzę ze wsi Białuty pod Błoniem. W domu było nas dziesięcioro — rodzice, czterech braci i trzy siostry. Co tu mówić, chleba nie starczało dla wszystkich. W dwóch parach butów chodziliśmy na zmianę we czterech. Dlatego „Ursus" jest dla mnie czymś więcej niż tylko miejscem pracy, jest jakby drugim domem, drugim ojcem. Zaczynałem jako robotnik, a dziś kieruję jednym z najważniejszych zakładów całej fabryki. Przeszedłem tu przez wszystkie niemal szczeble, od tokarza, ustawiacza, mistrza, kierownika zmianowego, kierownika wydziału kuźni, kierownika kontroli — do kierownika Zakładu Metalurgii. Z awansami tymi łączyła się nieustanna nauka, dokształcanie. Najpierw skończyłem technikum, a później Wydział Kuziennictwa na Politechnice Warszawskiej. Równocześnie pracowałem dużo społecznie, najpierw w organizacji młodzieżowej ZMP, później w Partii. Gdy spoglądam na te minione lata, sam sobie nie wierzę, że mogłem to wszystko zrobić.

Muszę się jeszcze pochwalić, że poza moim jednym bratem, w „Ursusie" pracuje już drugie pokolenie naszej rodziny — dwóch siostrzeńców. Starszy kończy zaocznie Wyższą Szkołę Inżynieryjną. Być może i mój syn, Grzegorz, również tu przyjdzie. Na razie ma dopiero 11 lat i chce zostać lotnikiem.

Ursus znaczy silny

PYTA PAN, skąd się wzięła nazwa naszej fabryki? — powtarza pytanie inż. Górniak. — Chyba tak dokładnie to nie wiadomo. Legenda mówi, że kiedy ukazała się nowa powieść Henryka Sienkiewicza „Quo vadis?" — a było to na początku tego wieku — dawni właściciele fabryki nadali jej nazwę Ursus, od imienia siłacza występującego w powieści. Produkowane wówczas silniki spalinowe miały symbolizować siłę sienkiewiczowskiego bohatera z „Quo vadis?" — Ursusa. Jeśli nawet tak nie było, to przyznam, iż nazwa ta wybrana została trafnie. Trudno sobie dziś wyobrazić ciężką pracę w polu bez naszych stalowych rumaków.

Rozmawiał
STANISŁAW BOROWIECKI
Foto: I. Barski i I. Drozdowski z ZM „Ursus"

Pierwszego grudnia 1963 roku ZM „Ursus" wyprodukowały 100-tysięczny traktor. Natomiast w tym roku liczba ursusowskich ciągników przekroczy ćwierć miliona sztuk!

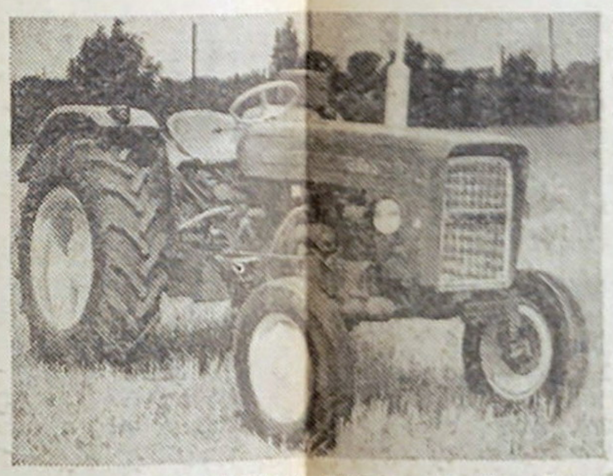

A oto zmodernizowana wersja ciągnika C-4011 oznaczona symbolem C-350. Traktor otrzymał wzmocniony silnik o mocy 50 KM, bardziej nowoczesną, samochodową maskę. Te ciągniki produkujemy głównie na eksport do kilkudziesięciu krajów świata.

Na tym zdjęciu oglądacie trzy najnowsze traktory z rodziny „Ursusów". Od lewej stoją: Ursus-1100 z polskim silnikiem wysokoprężnym Leylanda, Ursus-385 z napędem na wszystkie cztery koła, oraz Ursus-385. Pierwsze dwa warianty to na razie ciągniki prototypowe.

PYTAJ — ODPOWIEMY

Chciałbym prosić redakcję o napisanie krótkiej historii hełmu. Od kiedy był używany i jak się zmieniał.

Rysiek Szymański
z Poznania

HISTORIA HEŁMU

HISTORIA HEŁMU, bojowego nakrycia głowy, rozpoczyna się w naszym kraju w odległych czasach przedpiastowskich, a w Europie jeszcze w starożytności. O rozwoju hełmu, z którym woj, rycerz czy żołnierz nie rozstawał się od tysiącleci, świadczą odkrycia archeologiczne, starę rzeźby, kroniki.

Najstarszy ze znanych hełmów odnaleziony został koło Otmuchowa, na Śląsku. Jest on misternie upleciony z drutu i zaopatrzony w część ochronną na nos. Uczeni przypuszczają, że to cenne znalezisko jest najprawdopodobniej słowiańskiego pochodzenia.

Potem przyszły burzliwe lata wypraw Chrobrego. Od Wielkopolski aż po Kijów, na szlaku bojowym polskich rycerzy archeologowie odnajdują wciąż szczątki uzbrojenia — wśród nich hełmy, zwane wówczas szłomami. Szłomy rycerzy Chrobrego różnią się znacznie od ówczesnych typów hełmów używanych zarówno przez rycerzy Wschodu, jak i Zachodu. Są bogato złocone i zakończone tuleją na pióropusz. Spełniają rolę nie tylko funkcjonalną — ich przepych świadczy o bogactwie i potędze bolesławowego wojska.

W XIII w. zaczęto używać hełmów tzw. garnczkowych, zakrywających całą głowę, ze szparą na oczy. Przeszło sto lat później wprowadzone zostało istotne ulepszenie — zamiast unieruchamiającego garnka rycerze zaczynają nosić przyłbice z opuszczoną żaluzją.

W okresie nowożytnym zaroiło się od przeróżnych odmian hełmów. Rycerze nosili moriony, szturmaki, szyszaki, kasaki. Do najpiękniejszych polskich hełmów wieku XVI—XVII zaliczyć możemy niewątpliwie szyszaki husarskie.

W wieku XVIII hełmy znikają z żołnierskich głów. W czasie reformy wojskowej w 1776 r. weszły w polskim wojsku w użycie konfederatki dla towarzyszy i czarne kaszkiety dla pocztowych. Ten okres trwał jednak bardzo krótko. Metalowe nakrycie głowy okazało się żołnierzowi niezbędne. W 1810 r. w pułku kirasjerów Księstwa Warszawskiego znów został wprowadzony hełm — choć w wersji znacznie zmienionej. Miał on korpus i daszek żelazny, ale opięty niedźwiedzią skórą. Te właśnie kirasjerskie kasaki przypadły potem w udziale korpusowi żandarmerii Królestwa Kongresowego.

Tak w dużym skrócie wygląda historia hełmu zmieniającego się w ciągu wieków, aż do używanego dziś lekkiego i funkcjonalnego metalowego nakrycia głowy współczesnego żołnierza. Ten szczegół żołnierskiego wyposażenia zmienił się w wojsku chyba najmniej — a w każdym razie zasada została ta sama. I czy wojowało się mieczem, czy obsługuje się dziś nowoczesną broń rakietową — zawsze głowę chroni opiekuńcze żelazo. (jk).

Ośmioletni pasterz

NA OBSZARZE Tanzanii żyje ponad 50 plemion i mniejszości narodowych. Wśród nich największym poważaniem cieszą się Masajowie. O tym dumnym, wojowniczym i miłującym wolność szczepie hodowców bydła napisano już całe księgi.

Ten pasterz ma zaledwie 8 lat, ale jako prawowity Masaj nie rozstaje się ze swym oszczepem i bez namysłu rzuci nim w lwa napadającego na bydło.

Monety z tworzyw sztucznych

NA WYSPACH Oceanu Indyjskiego od lat były w obiegu oryginalne monety z kości słoniowej. Ponieważ uległy one wytarciu, trzeba było zapasy uzupełnić. Zmieniono przy tym surowiec na odpowiedniejszy — żywicę acetonową, z której wtryskuje się najnowszą edycję waluty. Rysunki i napisy wykonano specjalną techniką „utwardzania termicznego", zapewniając im w ten sposób nieścieralność.

Czy wiecie że...

...pszczoły, osy i muchy potrafią orientują się w przestrzeni według pola magnetycznego Ziemi? Owady te mają dobrze wykształcony tak zwany kompas biologiczny umieszczony wzdłuż podłużnej osi symetrii ciała.

WILKI na GRANICY

ALEKSANDER WIĄCEK
JERZY RUSZCZYŃSKI

ODCINEK 2.

— Hände hoch, meine Herren! (Ręce do góry, moi panowie!)

Zdumiony Wierzba ujrzał skierowany ku sobie wylot lufy „tetetki". Kabura na pasie majora była pusta. Dziewczyna potrafiła wyciągnąć sprytnie broń i odskoczyć w przeciwległy kąt pokoju. Chcąc nie chcąc z wolna podnieśli ręce. W prawej dłoni majora widać było karteczkę z szyfrem.

— Oddać mi ten papier. Prędko! — domagała się dziewczyna.

— A jeżeli nie oddam? — spytał nieco drwiąco Warszawski.

Sądząc, że major chce wygrać na czasie, Wierzba powoli zaczął przesuwać się w prawo, wzdłuż ściany. Chciał dostać się bliżej dziewczyny, jednym susem dopaść jej i wytrącić broń z ręki. Zorientowała się i przesunęła lufę w jego stronę.

— Wracać na miejsce, ręce wyżej! — rozkazała.

Wierzba spojrzał pytająco na majora. Z podniesienia brwi i jakby rozbawionej miny wywnioskował, że jego pomoc nie jest tu potrzebna. Ale czy nie przeciąga struny?

— No więc co będzie, jak nie oddam? — spytał znów major.

Pistolet wyleciał jej z rąk, zbladła, kolana się pod nią ugięły.

— Trzymaj ją! — krzyknął major podbiegając do dziewczyny.

Ułożyli Niemkę na ławie. Kolejarz pobiegł po wodę. Wierzba nie mógł powstrzymać swej ciekawości:

— Skąd pan wiedział, że pistolet nie wypali?

— Stary kawał zwiadowców. W tym pistolecie są zwykłe naboje bez prochu. Sam odpiąłem kaburę, żeby zobaczyć, czy dziewczyna ma ochotę szybko wydostać się z naszych rąk. Prawdziwą broń noszę zawsze w kieszeni — dodał, wyciągając zgrabną „belgijkę". — Ta mnie nigdy nie zawiodła.

Kolejarz wrócił z wodą, przyłożył dziewczynie mokrą chusteczkę do czoła. Po chwili usiadła, zdumionym wzrokiem rozejrzała się wokoło. Najbardziej przyglądała się chyba rozsypanym na podłodze rzodkiewkom.

— No to co, możemy pogadać? — spytał major.

Dziewczyna nie obejrzała się nawet.

— Jak ci na imię?

— Zwariowała całkiem, czy jeszcze jej szok nie minął? — mruknął Wierzba.

— Odstawmy ją lepiej do nas, a potem z nią pogadamy — zdecydował Warszawski.

— Chwileczkę, panie majorze — wtrącił się Wierzba. — Powiedz mi — zwrócił się do dziewczyny — co on miał śpiewać? Jakie melodie?

— Nie wiem. Chyba jakieś pieśni religijne.

Wierzba odciągnął majora w drugi kąt pokoju.

— Zdaje się, że wiem, co to za jeden — tłumaczył mu. — Wariat, nie wariat, diabli go wiedzą. Włóczy się po ulicach z książką do nabożeństwa i śpiewa. Widziałem niedawno, jak pod stacją benzynową, naprzeciw hotelu, kolędy niemieckie zasuwał. Łachmaniarz ostatni, ale nie słyszałem, żeby żebrał. Czort go też wie, z czego żyje.

— Gdzie go można znaleźć? — spytał major.

— Jeszcze dziś rano widziałem go. Stał koło domu „Wanda" i pokazywał jakiemuś Niemcowi coś w swoim modlitewniku. Gadali cicho, nic nie było słychać.

— Nie ma na co czekać — zdecydował Warszawski — każcie waszemu szeregowcowi odprowadzić Niemkę, a my pojedziemy szukać tego śpiewaka.

*

Potężny Opel obwiózł majora i Wierzbę po wszystkich niemal uliczkach miasteczka, ale nigdzie nie natrafili na tajemniczego śpiewaka. Nikt go już od rana nie widział, nikt też nie mógł im powiedzieć, gdzie ten łachmaniarz spędza noce. Komendant posterunku milicji uważał go za nieszkodliwego maniaka, ofiarę przeżyć wojennych. Podobno stracił całą rodzinę w czasie bombardowania Zagłębia Ruhry. Niestety, nikt nie znał ani jego nazwiska, ani adresu.

Po dwóch godzinach Wierzba zły i zmęczony wracał do siebie. Odkrycie karteczki w klapie żakietu Irmy poprawiło znakomicie jego humor, ale na krótko. Widywał te łajze śpiewającą niemal co dzień a właśnie teraz, kiedy go potrzebował, znikł mu jak kamień w wodę. Major Warszawski gdzieś się spieszył, wysadził Wierzbę pod kinem, obiecując, że niedługo wróci. Przy wartowni stał jakiś obcy Willys. Dowódca warty podszedł do Wierzby.

— Major Gruda kazał, żeby się pan zaraz zgłosił w pokoju po poruczniku Golcu.

— Po kiego diabła? Mało jeszcze miałem służby?

— Chyba ten porucznik, co go ze sztabu przywieźli, będzie chciał z panem rozmawiać. Bardzo się dopytywał, gdzie pan jest.

— No trudno, jak trzeba, to trzeba.

C.d.n.

PO CO JĄ ZATRZYMALIŚCIE? — spytał major.

— Zaraz wyjaśnię. — I Wierzba zwrócił się do dziewczyny z pytaniem: — Co pani tutaj ma? — wskazując palcem na lewą klapę jej eleganckiego żakietu.

Dziewczyna zaczerwieniła się, zakryła dłonią wskazane miejsce, błagalnie spojrzała na majora.

— Skąd ten wniosek? — spytał Warszawski.

— Obserwowałem ją w czasie rewizji i jeszcze wcześniej. Za często łapała się bez potrzeby za klapę. Proszę, nawet jest przybrudzona.

— Proszę zdjąć żakiet — rozkazał Warszawski.

Dziewczyna, blada, upuściła siatkę, powoli rozpięła guziki, zdjęła żakiet. Wierzba obejrzał lewe strony obu klap. Żadnego zgrubienia czy śladu, żadnej nitki w innym kolorze. Zaniepokoił się, zawstydził prawie. Dziewczyna kokieteryjnie patrzyła w oczy majora. Sierżant znalazł na stole starą żyletkę, przeciął klapę, wsunął dwa palce. Zrobiło mu się nagle cieplej koło serca. Jest! Cienka bibułka jak od papierosów, na niej maszynowe, pięciocyfrowe znaki jakiegoś szyfru.

— Chyba na nią pan czekał? — spytał Wierzba Warszawskiego, podając mu kartkę.

Major nie odpowiadając pochylił się nad nią, jakby mógł od ręki odczytać szyfr.

— A kto nam to cudo rozszyfruje? — zaniepokoił się Wierzba.

— Panienka nam pomoże. Dowiemy się o adresata.

Wpatrzeni pod oknem w karteczkę zapomnieli na chwilę o dziewczynie. Robiła wrażenie takiej bezradnej, przybitej, a tu nagle usłyszeli za sobą jej ostry, rozkazujący głos:

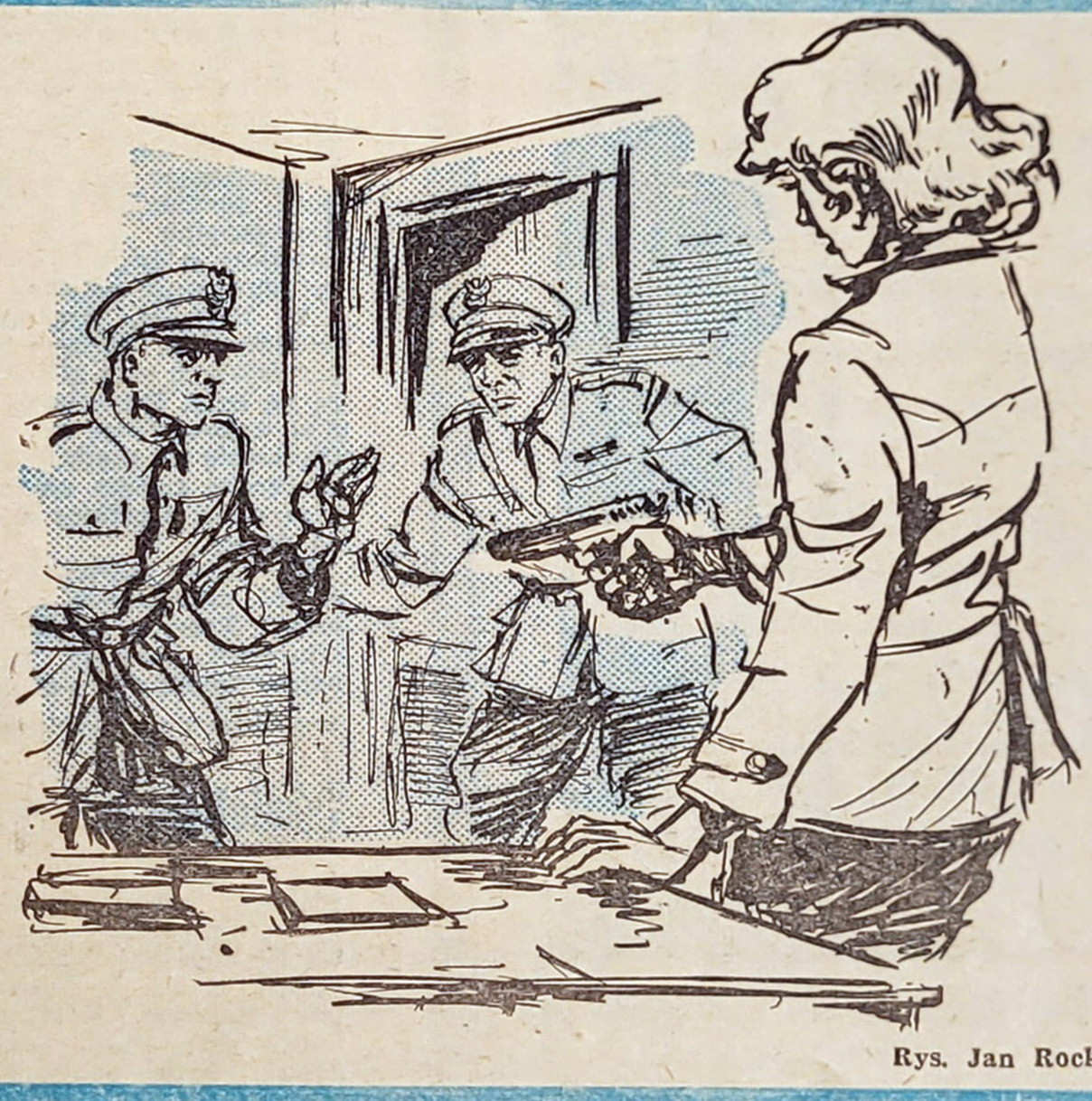

Rys. Jan Rocki

— Zastrzelę jak psa — warknęła dziewczyna.

— Po co? I tak nie uciekniesz.

— Milczeć! Nie twój interes. Rzuć kartkę! Liczę do trzech. Ein... — Warszawski pomachał karteczką, uśmiechnął się szeroko.

— Zwei... wycedziła Niemka przez zęby.

Major wolno zaczął chować kartkę do kieszeni munduru.

— Drei! — krzyknęła dziewczyna, naciskając spust pistoletu. Usłyszeli trzask zwolnionej sprężyny, iglica opadła.

— Dlaczego nie strzelasz? — spytał Warszawski. — Nie potrafisz?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

— Irmgarda — odpowiedziała po dobrej chwili.

— Słuchaj Irma. W twoim interesie leży teraz mówienie prawdy. Tylko to może ci pomóc. Przyznaj się, komu miałaś zanieść tę kartkę?

— Nikomu.

— Nie kłam. A może ktoś miał po nią przyjść?

— Ja nie kłamię. Tak, miał przyjść. Taki jeden facet. Tutejszy.

— Jaki facet? Mów dokładniej.

— Kiedy ja nie wiem, kto. Wiem tylko, że miał śpiewać.

Major z Wierzbą wymienili wymowne spojrzenia.

TYTUS, ROMEK i A'TOMEK

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA i SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.

Zam. 1833 K-87

2 MAJA—PIŁKARSKIE EMOCJE

2 MAJA NA STADIONIE LUDOWYM W BUDAPESZCIE ODBĘDZIE SIĘ DWUDZIESTY PIERWSZY MECZ MIĘDZYPAŃSTWOWY POLSKA—WĘGRY. NASI PRZYJACIELE ZNAD DUNAJU BYLI PRZEZ WIELE LAT NAUCZYCIELAMI POLSKICH PIŁKARZY. BYLI NIEDOŚCIGNIENI. ALE NIE ZAWSZE. WYGRALIŚMY Z NIMI TRZY RAZY, W TYM DWUKROTNIE W WAŻNYCH, HISTORYCZNYCH CHWILACH.

BYŁ ROK 1936. XI Igrzyska Olimpijskie w Berlinie. Atmosfera — jakby jutro miała już wybuchnąć krwawa wojna. Na ulicach grzmiały bez przerwy wojenne marsze hitlerowskie. Wszędzie wojskowi w czarnych mundurach SS, jasnobrązowych SA, szarozielonych Wehrmachtu. Na trybunach honorowych szał radości wybuchał tylko po zwycięstwach zawodników niemieckich. Widzowie cieszyli się jedynie w chwilach, w których uśmiechał się Hitler. A on nie lubił Polaków. Tak samo jak Murzynów. Bohaterem Igrzysk stał się czarnoskóry lekkoatleta z USA, Jesse Owens, zdobywca czterech złotych medali: w biegach na 100 m, na 200 m i w sztafecie 4 x 100 m oraz w skoku w dal. Hitler nie chciał o tym wiedzieć i nie zaprosił go do loży honorowej, chociaż zapraszał wielu innych zwycięzców.

Nasi piłkarze w pierwszym meczu turnieju olimpijskiego spotkali się z Węgrami. Na trybunach — 15 tysięcy widzów a naprzeciwko siebie dwie jedenastki: sławna węgierska i wspinająca się dopiero po sławę drużyna polska.

Sensacja XI Igrzysk

PIERWSI do ataku ruszają Węgrzy. Szybcy, zwinni i dokładni, zamykają Polaków prawie w stalowych kleszczach. Piłka co minutę leci prosto w bramkę. Czuwa w niej jednak nasz znakomity zawodnik Spiridion Albański, bramkarz obdarzony cudownym refleksem. To on swoim spokojem dodaje otuchy kolegom, to on kieruje obroną, to on wysyła w bój napastników. Mijają minuty i powoli obręcz wokół bramki Albańskiego rozluźnia się coraz wyraźniej. Rytm węgierskiego czardasza cichnie. Rozlegają się szybkie dźwięki polskiego mazurka. Piłka przenosi się pod bramkę Węgrów. Dwunasta minuta gry. Przy piłce Hubert God. Jest 20 metrów przed linką bramki. Z dalekiego podania przyjmuje piłkę na lewą nogę, przerzuca ją na prawą i strzela błyskawicznie. Jest 1 : 0!

I znowu ostra gra Węgrów. Ale już nie ma tego impetu, jak na początku. Węgrzy zaczynają bać się Polaków. I mają rację. Tego dnia Polacy są lepsi. W dwudziestej minucie Hubert God startuje z połowy boiska. Piłkę ma przy sobie. Samotny rajd kończy oddaniem piłki Teodorowi Peterkowi. Ten podciąga jeszcze kilka metrów do bramki węgierskiej, wypuszcza Goda i... jest 2 : 0! Trzeci gol został zdobyty w drugiej połowie meczu, na minutę przed końcem olimpijskiego zmagania. Polscy piłkarze zajęli na XI Igrzyskach w Berlinie czwarte miejsce.

W przeddzień wojny

WIELU LUDZI pamięta dzień 27 sierpnia 1939 roku. Wiadomo było, że wojna jest prawie nieuchronna. Na granicy polsko-niemieckiej rozlegały się strzały, mające sprowokować naszych żołnierzy do gwałtownych wystąpień. Jak nigdy potrzebna była zimna krew. Niemcy jej nie mieli. Występ swoich piłkarzy w Szwecji odwołali. A nasze spotkanie z Węgrami?

Na Stadionie Legii przy ulicy Łazienkowskiej w Warszawie letnie sukienki dziewcząt mieszały się z zielonymi mundurami żołnierzy, mających za trzy dni walczyć już na froncie. Ale w tę ostatnią przedwojenną niedzielę przyszli popatrzeć na ostatni mecz piłkarzy. Zaczęli Węgrzy. Zdobyli dwie bramki. Zanosiło się na klęskę. W sprawozdaniu dziennikarza „Przeglądu Sportowego" można było przeczytać:

„Polacy zwarli się w sobie, stali się nieustępliwi, agresywni. A gdy padła pierwsza dla nich bramka, nic już nie było ich w stanie powstrzymać. Czyżby Węgrzy zarżnęli się własnym tempem? Czy tylko zdetonowali nagłym zrywem przeciwnika? Ale nie. Pod obuchem gwałtownych ataków polskich piłkarzy nie byli w stanie powrócić do swojej spokojnej, wycyzelowanej gry i dopiero pod koniec, gdy groziła im katastrofa, rzucili wszystkie siły, by przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę. Na próżno. Nie byli w stanie sforsować betonowej, polskiej obrony. Przy każdym napastniku węgierskim był Polak. Dwa wypady Adama skończyły się autami. Strzał wolny Dudasa został nie wykorzystany."

Mecz Polska — Węgry, dziesiąty mecz zakończył się wielkim polskim sukcesem i wynikiem 4 : 2. Do przerwy było 1 : 2. Drużyna Polski grała w takim składzie:

Krzyk — bramkarz, Giemza i Szczepaniak — obrońcy, Góra, Jabłoński, Dytko — pomocnicy, Jaźnicki, Baran, Piątek, Cebula, Wilimowski, Cyganek — napastnicy.

Byliśmy wdzięczni Węgrom za ich przyjazd do Warszawy i za rozegranie meczu tuż przed II wojną światową. Mimo groźnych chmur na horyzoncie zdecydowali się na rozegranie meczu z Polską. Postąpili jak bracia.

Na 21 mecz my jedziemy do Budapesztu. Czy zwyciężymy? Odpowiedź — 2 maja na Stadionie Ludowym.

WITOLD DUŃSKI

WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI — zdobywca bramki w meczu Górnika Zabrze z AS Roma w Strasburgu. Po tym meczu Górnik Zabrze zakwalifikował się do finału Pucharu Zdobywców Pucharów.

Foto: E. Warmiński

Mazurek KONTRA CZARDASZ

NAJWIĘKSZY I NAJMNIEJSZY

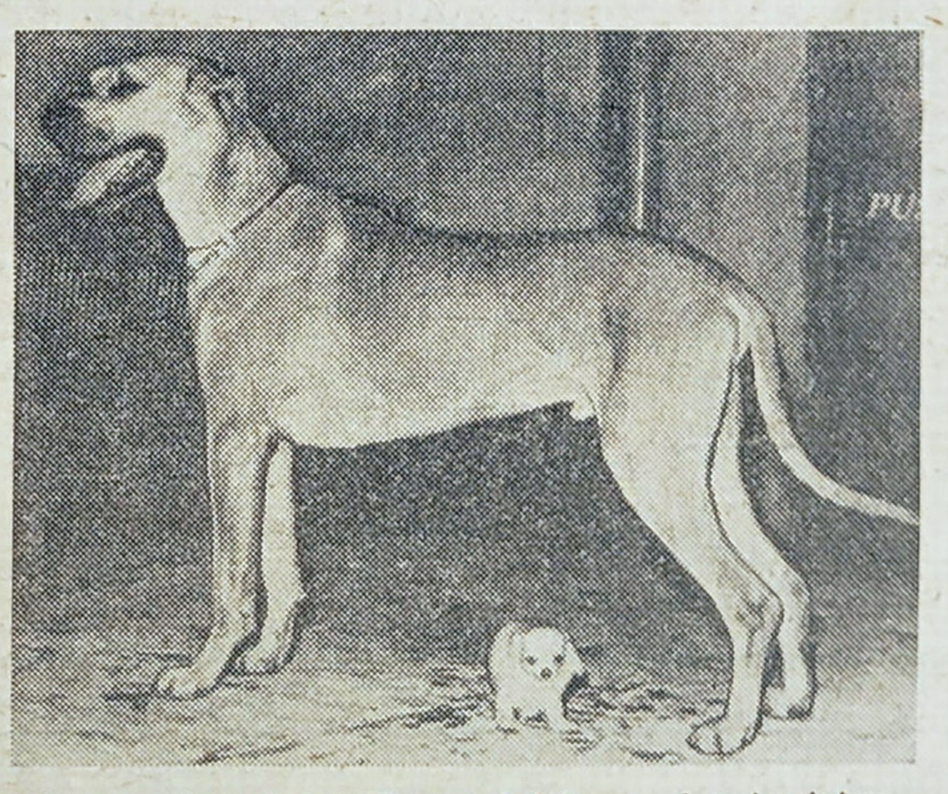

Oto przedstawiamy Wam największego i najmniejszego uczestnika wielkiej wystawy psów w Londynie. Zgromadzono na niej aż 7 017 żywych eksponatów.

Foto: CAF

MINIATUROWE SKRZYPCE

● **Jarosław Vittner z Usti (w północnych Czechach) wykonał skrzypce mieszczące się w pudełku od zapałek. Nie była to łatwa sprawa, gdyż Vittner musiał sporządzić miniaturowe dłuta z milimetrowego drutu — płaskie i półokrągłe oraz pracować z dokładnością do jednej dziesiątej milimetra. Skrzypce posiadają kołki, szyjkę i struny, które wykonane są z ludzkiego włosa. Cierpliwy lutnik musiał przeprowadzić przez ledwie widoczny otwór 14 włosów. Skrzypce i smyczek znajdują się w futerale i są wierną kopią prawdziwego instrumentu.**

NAJMNIEJSZE ZWIERZĘ KOPYTNE

● **W zachodniej Azji żyją najmniejsze i najzgrabniejsze ze wszystkich zwierząt kopytnych — góralki. Skaczą one krótkimi susami po skałach, wspinając się w górę po mistrzowsku. Ich delikatne stopy zakończone są u przednich nóg czterema, a u tylnych trzema palcami. Palce te opatrzone są płaskimi kopytkowymi paznokciami. Jedynie tylny wewnętrzny palec nosi szponowaty pazur. W ten sposób zwierzę jest doskonale przystosowane do wspinaczki.**

NAJGRUBSZA — ALE CZY NAJMĄDRZEJSZA?

● **Rybacy z archipelagu Samoa od niepamiętnych czasów po każdym zaciągu sieci uroczyście wypuszczają z powrotem do morza największą i najgrubszą rybę, gdyż wierzą, że jest to najmądrzejsza ze złowionych ryb, która z wdzięczności za odzyskaną wolność przyprowadzi rybakom całą ławicę swych towarzyszek.**

NAJSTARSZY I NAJDŁUŻSZY

● **Spośród hymnów narodowych najstarszym na świecie jest japoński. Powstał on w IX wieku. Najdłuższym hymnem jest grecki, liczy 158 wierszy, w przeciwieństwie do tego japoński jest zaledwie czterowierszowy. Równie krótkie są hymny Jordanii i San Marino.**